

A high-contrast, black and white close-up portrait of a man, Mateusz Niedźwiecki. He is looking slightly to the left of the camera with a serious, intense expression. The lighting is dramatic, with deep shadows on the right side of his face and forehead, and highlights on the left side of his face and hair. The background is dark and out of focus.

**MATEUSZ
NIEDŹWIECKI**

**CZŁOWIEK,
KTÓRYM SIĘ
STAŁEM**

„NIE MA GWARANCJI. JEST TYLKO DECYZJA –
PODEJMOWANA CODZIENNIE OD NOWA”

CZŁOWIEK, KTÓRYM SIĘ STAŁEM

MATEUSZ NIEDŹWIECKI

Mateusz Niedźwiecki
Człowiek, którym się stałem

© Copyright by Mateusz Niedźwiecki, 2026

Wydanie I
Wydawca: Mateusz Niedźwiecki (self-publishing)

Skład i łamanie: Studio Grafpa, www.grafpa.pl
Projekt okładki: Studio Grafpa, www.grafpa.pl

ISBN: 978-83-980876-1-2

Miejsce wydania: Uherce Mineralne
Rok wydania: 2026

Wszelkie prawa zastrzeżone.

Żadna część niniejszej publikacji nie może być powielana ani rozpowszechniana w całości w jakiejkolwiek formie ani w jakikolwiek sposób bez uprzedniej pisemnej zgody autora. Krótkie fragmenty lub cytaty mogą być jednak wykorzystane przez recenzentów, media i osoby komentujące książkę w celach informacyjnych lub recenzenckich.

Uwaga: Niektóre imiona i szczegóły w tej książce zostały zmienione na potrzeby narracji, aby chronić prywatność osób, które pojawiają się w tej historii. Wydarzenia i emocje opierają się jednak na moich własnych doświadczeniach i wspomnieniach.

SPIS TREŚCI

PROLOG	7
---------------------	----------

CZĘŚĆ I	
DOM 2006-2013.....	9

Rozdział I		Rozdział IV	
Wojsko	11	Pierwszy koncert	47
Rozdział II		Rozdział V	
Belgia	23	Początek problemu	67
Rozdział III		Rozdział VI	
Powroty	33	Upadek	87

CZĘŚĆ II	
RZESZÓW 2013-2018.....	109

Rozdział VII		Rozdział XI	
Przeprowadzka	111	Mentalny reset	177
Rozdział VIII		Rozdział XII	
Nowa praca – nowe znajomości	127	Między marzeniami a rzeczywistością	193
Rozdział IX		Rozdział XIII	
Przebudzenie demonów	145	We dwoje	205
Rozdział X			
Wzloty i upadki	161		

CZĘŚĆ III			
BIESZCZADY 2018-2026			219
Rozdział XIV		Rozdział XVII	
Nowa rzeczywistość	221	Śmierć	263
Rozdział XV		Rozdział XVIII	
Kolejna próba	235	Dno	279
Rozdział XVI		Rozdział XIX	
Życie codzienne	251	Z popiołów	295
EPILOG.....			313
PODZIĘKOWANIA			315

PROLOG

– Chodźcie szybko... bo leży! – krzyk babci Janiny rozdarł ciszę.

W jednej chwili ogarnęła mnie panika. Strach tak silny, że pociemniało mi przed oczami. „Jezu... dziadek Kazik nie żyje” – przemknęło mi przez głowę.

Niewiele myśląc, wybiegłem z domu. Przerażony poleciałem prosto do wujka Krzysztofa, który mieszkał dwa domy dalej. Pamiętam tylko, że zdyszany waliłem pięściami w drzwi i nie byłem w stanie wykrztusić z siebie ani słowa. Kiedy otworzyli – zaniemówilem.

Podejrzewam, że w moich oczach musieli zobaczyć strach, bo z tego, co pamiętam, cała ta sytuacja bardzo ich przeraziła.

– Mateusz! Co się stało?! – krzyczeli.

A ja jak ostatni tłumok stałem w miejscu, kompletnie sparaliżowany. W końcu wujek narzucił na siebie kurtkę i pobiegł w stronę mojego domu.

Ciotka od razu podała mi jakieś środki uspokajające. A co było dalej – czarna dziura.

Wszystko wydarzyło się około godziny dwudziestej pierwszej, w grudniowy wieczór – dokładnie 20 grudnia 2004 roku. Bez dwóch zdań była to jedna z tych chwil, które zostają z człowiekiem do końca życia. Tym bardziej że za moment miały być święta Bożego Narodzenia – czas radości, bliskości, spokoju. A tu nagle taka sytuacja. Jakaś kurewska, ciemna abstrakcja.

To były jedne z najgorszych świąt w moim życiu. Zamiast uśmiechów przy wigilijnym stole wszyscy nagle się rozplakali, a całą świąteczną atmosferę szlag trafił. Przecież dziadek Kazik jeszcze kilka dni wcześniej jadł z nami obiad przy tym samym stole. A teraz go już nie było. Odszedł nagle, bez pożegnania.

Pomyślałem wtedy, że nic gorszego nie może mi się w życiu przydarzyć. Że taka sytuacja już się nie powtórzy. Nie miałem pojęcia, jak bardzo się myliłem.

CZĘŚĆ I

DOM 2006-2013

ROZDZIAŁ I

WOJSKO

23 czerwca 2006 roku – skończyłem szkołę. Technikum budowlane na podbudowie zasadniczej szkoły zawodowej. Sześć lat w Zespole Szkół Budowlanych i Ogólnokształcących w Biłgoraju. Sześć długich lat, które ciągnęły się jak guma, ale w końcu się udało. Zostałem technikiem budownictwa. Do dziś brzmi to dla mnie trochę jak cud.

Nigdy nie byłem pilnym uczniem. Raczej jednym z tych, którzy częściej znikali z lekcji, niż na nich siedzieli. Nauka zawsze była gdzieś obok – nie czułem, żeby mnie dotyczyła. Najpierw trzy lata zawodówki jako murarz, potem kolejne trzy lata technikum. Razem sześć lat kombinowania, zaliczania minimalnym kosztem i czekania, aż to się wreszcie skończy.

Nie obyło się bez problemów. Były poprawki, niedopatrzenia, chaos i moja kompletna obojętność. Gdyby nie pomoc mamy i ludzi, którzy wstawiali się za mną tam, gdzie trzeba, pewnie bym tego nie skończył. Ja w tym czasie robiłem to, co potrafiłem najlepiej – liczyłem, że jakoś się ułoży.

Maturę, ku własnemu zdziwieniu, zdałem za pierwszym razem. Głównie dzięki przypadkom, zbiegom okoliczności i cudom, które nie miały prawa się wydarzyć. Z edukacji nie wyniosłem nic konkretnego. Poza jednym – że jakoś zawsze udawało mi się prześlizgnąć dalej, nawet gdy do niczego się nie przykładałem.

Przyszły wakacje i pojawiło się pytanie: co dalej? Wszyscy znajomi albo składali papiery na studia, albo uciekali za granicę. To był czas, gdy bardzo popularne były roboty sezonowe – Niemcy, Holandia, Belgia. Dorośnięcie wisiało w powietrzu. Tyle że mnie to nie dotyczyło. Nigdy nie czułem presji dorosłości ani odpowiedzialności za samodzielne życie. Czułem się jak wolny ptak. Bez poczucia, że powinienem już wiedzieć, co ze sobą zrobić. Nie myślałem ani o studiach, ani o pracy.

W głowie miałem zupełnie inne plany. Muzyka. A dokładniej – zespół punkrockowy. W Sierakowie, mojej małej rodzinnej miejscowości na Podkarpaciu,

było nas dwóch. Mój sąsiad Jacek i ja. Pod względem muzycznym nadawaliśmy na tych samych falach. Te same zespoły, ten sam gniew, ten sam brud i hałas. Zawsze bez problemu dogadywaliśmy się na tej płaszczyźnie.

W dodatku Jacek miał coś, co wtedy wydawało się bezcenne – starą, zużytą perkusję, którą kupił mu ojciec. Pamiętam, jak – siedząc na podwórku – słyszałem, jak wali w nią godzinami. Blachy dzwoniły, bębny dudniły, a mnie aż nosiło. To wtedy po raz pierwszy w życiu pojawiły się prawdziwe marzenia o założeniu kapeli. Nie miałem jeszcze żadnego instrumentu, ale jedno wiedziałem na pewno – będę grał na gitarze i śpiewał.

Podczas jednych ferii zimowych pracowałem dwa tygodnie w tartaku. Ciężka robota, mróz, trociny wszędzie, zmęczenie, które wchodziło w kości. Uzbierałem wtedy kilkaset złotych i kupiłem swoją pierwszą gitarę. Jakies stare, PRL-owskie wiosło, z gryfem krzywym jak łuk. Dla kogoś innego byłby to złom. Dla mnie – spełnienie marzeń.

Od tamtego momentu każdą wolną chwilę spędzaliśmy w piwnicy Jacka. Siedzieliśmy tam całymi dniami, rzępoląc punkrocka bez ładu i składu. Raban, pot, fałsz i czysta radość. Żaden z nas nie był muzykiem, ale graliśmy, jakby od tego zależało wszystko.

Postanowiliśmy, że zostaniemy gwiazdami punk rocka, tak jak nasi idole – KSU czy Defekt Muzgó.

Zanim jednak zdążyłem się zorientować, zleciało nam na tym całe lato. Oczywiście nie zagraлиśmy ani jednego koncertu. Ja sam nie potrafiłem nawet porządnie nastroić gitary. Ale graliśmy dalej. Nie poddawaliśmy się. Do czasu.

Przyszła jesień i razem z nią powołanie do naszej ukochanej armii. W tamtych latach obowiązkowa zasadnicza służba wojskowa była czymś oczywistym. Marzenia o muzycznej scenie musiały poczekać.

Na składanie papierów na studia było już za późno. Nie zostało mi nic innego, jak zasilić szeregi wojska i odsłużyć swoje. Nie miałem wyboru. Nie było sensu uciekać – armia i tak prędzej czy później by mnie znalazła. Uznałem więc, że im szybciej to załatwię, tym lepiej.

Był deszczowy, ponury i zimny listopadowy poranek. Pamiętam, że obudziłem się z jedną, bardzo konkretną myślą – to ostatni poranek, kiedy mogę na spokojnie zjeść śniadanie i zapalić papierosa na kiblu. Bez stresu. Bez krzyków

trepów nad głową. Bez srania na czas. I dokładnie tak było. Przez kolejne dziewięć miesięcy nie będę miał już takiego komfortu.

Tego dnia ubrałem się jak zwykle. Narzuciłem na siebie skórzaną ramoneskę, a do kieszeni upchałem ładowarkę do telefonu i portfel. Niby nic wielkiego, a jednak czułem, jakby to były ostatnie normalne rzeczy, jakie zabieram ze sobą.

Pożegnałem się z rodziną i wyszedłem z domu na autobus. Ten sam, którym jeszcze pół roku wcześniej jeździłem do szkoły. Świat się nie zmienił, tylko ja byłem w innym miejscu.

– Ja pierdolę... a może by tak coś przekombinować i nie jechać? – powiedziałem sobie pod nosem.

Szybko jednak dotarło do mnie, że gdybym odwalił taki numer, żandarmeria wojskowa zawinęłaby mnie w trybie ekspresowym. Narobiłbym sobie tylko większych problemów.

Z kwaśną miną i chujowym nastawieniem wsiadłem do tego przekłętego autobusu i ruszyłem w świat – a raczej do Zamościa, oddalonego o jakieś osiemdziesiąt kilometrów. Tam znajdowała się jednostka wojskowa, w której miałem się stawić.

Miałem wtedy wrażenie, jakbym odlatywał na inną planetę. Jakbym opuszczał dotychczasowy świat i miał trafić do zupełnie innego. Kompletnie nie docierało do mnie, że przez najbliższe miesiące będę żył w innej rzeczywistości. Ta sytuacja jednocześnie mnie przerażała i dziwnie ekscytowała. Po raz pierwszy opuszczałem bezpieczny dom rodzinny na tak długo. Dwudziestojednoletni chłopak, który wtedy kompletnie nie znał życia.

Ruszyłem w podróż i po kilku godzinach dotarłem na miejsce. Poszedłem pod adres wskazany na bilecie i po chwili stałem już pod bramą jednostki. Było około dwunastej w południe. Ten obraz pamiętam do dziś.

Ja – przerażony, spięty, stojący z powołaniem w rękę. A w oddali krzyki żołnierzy, którzy usiłowali śpiewać coś w rytm tupotu ciężkich, wojskowych trepów. Ten dźwięk niósł się po placu jak echo. Szare, poniszczone bloki schowane za wysokimi murami jednostki. Beton, brud, surowość. Wszystko to kojarzyło mi się z jakimś zakładem zamkniętym. Z więzieniem. Ze szpitalem psychiatrycznym. Z czymś, co od razu wzbudzało we mnie niepokój i strach.

Stałem tam chwilę, zbierając myśli. Ale co miałem zrobić? Trzeba było iść przed siebie. Nie było odwrotu. Ojczyzna wzywa. W tamtych czasach był to obowiązek każdego zdrowego chłopaka z kategorią A.

Zestresowany, z „biletem” w dłoni, podszedłem do żołnierza stojącego przy wejściu. Spojrzał na mnie przelotnie i bez słowa zaprowadził do grupy chłopaków. Jak się szybko okazało, byli to nowo wcieleni z mojego poboru. Tacy sami jak ja – zagubieni, cisi, próbujący udawać, że wszystko jest pod kontrolą.

Ustawił nas w szeregu i nagle ryknął:

– Kocury! Ustawić się, kurwa, w dwójki! Wierzcie mi, że nie chcecie, żebym się przez was tłumaczył kapitanowi! A jeśli będę musiał, to macie przejebane! Za mną! Marsz!

W tamtej chwili dotarło do mnie, że ten człowiek prowadzi nas do zupełnie innej rzeczywistości. Do miejsca, którego kompletnie nie znałem. Do świata, który nie miał absolutnie nic wspólnego z moimi marzeniami, planami ani wyobrażeniami o życiu.

– Na kompanii pobudka, pobudka, wstać! Strój na zaprawę! Dres, trampki! Wozy zostawić na wietrzenie! Czas operacyjny – pięć minut! A że w wojsku czas idzie na skróty, zostały wam dwie i pół minuty!

Takimi słowami pierwszego dnia obudził nas podoficer dyżurny kompanii szkolnej. Do dziś pamiętam chaos, który nagle zapanował na naszym piętrze. Krzyki, bieganinę, trzaskające metalowe łóżka. Ten pośpiech. Ten wszechobecny strach w oczach niektórych nowo wcielonych. Nikt tak naprawdę nie wiedział, co ma robić.

Z jednej strony wyglądało to groteskowo i śmiesznie, z drugiej – paraliżował strach przed tym, co dopiero miało nadejść. Pierwsze dni spędzone w zamojskiej jednostce bardzo szybko zweryfikowały, kto jest silny psychicznie, a kto do końca służby będzie miał przerąbane.

Po niecałym tygodniu rozdzielili nas wszystkich. Znaczna część żołnierzy, w tym również ja, została wysłana do swoich jednostek na tak zwane „unitarki” – przygotowanie do przysięgi wojskowej. W tamtym czasie trwało to około miesiąca. To był moment, w którym skończyło się udawanie, że to tylko chwilowa przygoda. Od tej pory każdy z nas miał już swoje miejsce na wojskowej mapie.

Żeby nie było za dobrze, trafiłem na drugi koniec kraju. Inowrocław. Oficerowie robili to celowo. Żołnierzy z południa wysyłali na północ, ze wschodu na zachód. Wszystko po to, żeby wybić nam z głowy jakiegokolwiek poczucie komfortu i bezpieczeństwa. Od teraz nasze jednostki miały być naszym domem, a cała reszta przestawała mieć znaczenie.

Był niedzielny wieczór, kiedy dotarliśmy na miejsce docelowe. Już samo przekroczenie bramy jednostki było jak uderzenie w twarz. Stare, zrujnowane budynki z czerwonej cegły, ślady dawnej świetności, której nikt już nie próbował nawet udawać. Wszechobecny smród ścieków. Betonowe płyty na placu, na którym całymi dniami będziemy ćwiczyć musztrę, aż nogi odmówią posłuszeństwa. W tle, jak zawsze, krzyki i śpiewy żołnierzy, pilnowane przez rozjuszonych kaprali, dla których to wszystko było codziennością.

Usiadłem zrezygnowany na łóżku – w wojsku potocznie zwanym „wozem”. Sprężyny zaskrzypiały pod moim ciężarem. Przez chwilę siedziałem bez ruchu, próbując złapać oddech. Naprzeciwko mnie inny żołnierz czyścił buty. Nie cholewki. Podeszwy. Tak, pastował podeszwy tych butów z pełnym skupieniem, jakby od tego zależało jego życie.

„Co ja tu, kurwa, robię? Pięćset kilometrów od domu. Nie znam nikogo. Niedzielny wieczór. A koleś przede mną pastuje podeszwy pierdolonych kamaszy”.

Wzięłem głęboki oddech i poczułem, jak coś we mnie znika. Zamiast siedzieć teraz w cichym, spokojnym domu i brzdękać na gitarze, byłem daleko od rodzinnej miejscowości, zamknięty w betonowej rzeczywistości, która nie dawała żadnych odpowiedzi. Nie miałem zielonego pojęcia, co będzie dalej. To był zwyczajny horror, tylko bez krwi i potworów – za to z regulaminem, rozkazami i zegarkiem odmierzającym każdą minutę.

Na szczęście szybko okazało się, że nie tylko ja czułem się w ten sposób. W zasadzie wszyscy mieliśmy podobnie. Ten sam strach, to samo zagubienie, ten sam brak kontroli. Mało tego – jeden koleś nawet nie powiedział rodzinie, że przenoszą go do Inowrocławia. Podobno aż do przysięgi nie wiedzieli, co się z nim dzieje. Wtedy nie wszyscy mieli jeszcze telefony komórkowe, a ten baran nawet nie zadzwonił do domu.

Swoją drogą do dziś zastanawia mnie jedno – dlaczego jednostka nie poinformowała rodziny o przeniesieniu. Może nikt nie pytał. Może tak miało być. Ale to już nie była moja sprawa. Ja informowałem swoich na bieżąco, gdzie jestem, jakbym sam potrzebował tego potwierdzenia, że jeszcze istnieje jakiś świat poza murami koszar.

Kolejna pobudka, kolejna musztra, kolejny capstrzyk. I tak w kółko. Dni ciągnęły się niemiłosiernie wolno, a jednocześnie wszystkie wyglądały tak samo. Każdy pod znakiem nieustannego pośpiechu. Krzyków trepów. Paskudnego żarcia. Tęsknoty za domem i rodziną. To był jeden z najmniej przyjemnych

miesiący, jakie przeżyłem w swoim życiu. Psychiczny młyn, bez chwili wytchnienia.

W końcu jednak nadszedł czas przysięgi. Ten jeden dzień, na który wszyscy czekaliśmy jak na zbawienie. Wreszcie zobaczymy bliskich. Wreszcie pierwsza przepustka. Każdy odliczał godziny. Dla nas, kotów, był to najważniejszy moment w barwach khaki. Dzień dumy, radości i złudnego poczucia, że najgorsze już za nami.

Pamiętam te tłumy ludzi, które przyjechały na przysięgę. Rodziny, dziewczyny, rodzice. A my – ubrani w moro, w hełmach pamiętających jeszcze komunę, z wiernymi KBK AK-47 na piersi. Tak. Na stanie mieliśmy radzieckie kałasznikowy. Ciężkie, zimne, absurdalnie symboliczne.

Ponad setka chłopą, która przygotowywała się do tego dnia przez cały miesiąc. Maszerowanie w kółko, dzień w dzień. Od rana do wieczora. Plac defiladowy przed kompanią, przerwa na obiad i z powrotem to samo. W tle nieustanne darcie mordy przełożonych, którzy gonili nas dosłownie za wszystko. Każdy krok, każdy błąd, każde spojrzenie nie tam, gdzie trzeba.

I co? I ta setka chłopą koncertowo spierdoliła przemarsz przed dowódcą pułku. Miesiąc zapierdalania poszedł w pizdu. Jak krew w piach. Dumni byliśmy jak cholera. Kabaret – bo inaczej tego nazwać się nie da.

A ja? Ja na samym czele tego widowiska. Wysoki, widoczny z kilometra, maszerujący w pierwszych czwórkach. Jakby specjalnie wystawiony na widok publiczny. Nie dało się mnie nie zauważyć. Idealny symbol tego, jak bardzo wszystko może pójść nie tak, mimo że robisz dokładnie to, co kazali.

Na przysiędze pojawili się wujkowie Marian i Krzysztof, bracia mojej mamy. Był też mój kuzyn, brat cioteczny Tomasz, któremu przypadła rola kierowcy – niestety. Poza nimi nie zjawił się nikt. Trochę mnie to ukuło, zwłaszcza gdy widziałem kolegów z kompanii otoczonych rodziną, dziewczynami, znajomymi. Tłumy, uśmiechy, zdjęcia. Ale co tam. Olać to. Najważniejsze, że w końcu jadę do domu. Czas rozpocząć pierwszą przepustkę.

Ruszamy w trasę. Euforia nie zdążyła jeszcze opaść, a licznik nawet nie dobił do dwudziestu kilometrów. Wtedy wydarza się to, co nie miało prawa się wydarzyć – wypadek.

„Nie no... to jakiś koszmar. Dlaczego ja?”

Jakiś dziadek w dużym Fiacie wymusił pierwszeństwo. Żeby nie rozbić auta, musieliśmy gwałtownie hamować. Niestety za nami jechała pani, która nie zdążyła zareagować. Skasowała nam cały tył samochodu.

Sytuacja była tak żałosna, że aż śmieszna. Kilkaset kilometrów od domu, czas przepustki ucieka bezlitośnie, a my stoimy w szczerym polu z rozbitą furą. Jakby tego było mało, oczywiście nie zapowiadało się na szybkie rozwiązanie. Na szczęście gdzieś niedaleko była wioska. A w niej – mechanik.

Zlitował się nad nami. Przekupiony litrą domowego samogonu i pięćdziesięcioma złotymi, prowizorycznie wyklepał tył samochodu tak, żeby nadawał się do dalszej jazdy. Cudów nie zrobił, ale w tamtej chwili nie o cuda chodziło. Najważniejsze, że można było ruszyć dalej.

Efekt? W drodze powrotnej zaliczyliśmy jeszcze dwie kontrole policyjne. Na szczęście obyło się bez mandatów i większych problemów. Po kilkunastu godzinach jazdy w końcu dotarliśmy do Sierakowa.

Radość z zobaczenia bliskich była niesamowita. Balanga – jeszcze większa. Przepustka trwała zaledwie dwa dni, ale był to jeden z grubszych baletów w moim życiu. Wróciłem w sobotę wieczorem, a w niedzielę w nocy już musiałem się zbierać. Tamtego razu nie zmrużyłem oka nawet na minutę. Czas spędzony w Sierakowie upłynął pod znakiem alkoholu i czystej, nieskrępowanej radości.

W niedzielny wieczór miałem pociąg powrotny. Kilku żołnierzy było z moich stron, więc wracaliśmy razem. Jeszcze przed wyjazdem, tuż po przysiedze, umówiliśmy się w jednej z knajp w Stalowej Woli, żeby wypić po piwie. Lokal był niedaleko dworca PKP – tak na wszelki wypadek, żeby się nie spóźnić. Przynajmniej w teorii.

Tak też zrobiliśmy. Spotkaliśmy się w umówionym miejscu. Nie było problemu, żeby się odnaleźć – każdy miał na sobie wojskowy mundur. Wszyscy byli już mocno wprawieni, ale zupełnie nam to nie przeszkadzało w dalszym imprezowaniu. Alkohol łał się równo, rozmowy były głośne, śmiech szczerzy.

Nikt wtedy nie myślał o tym, co będzie jutro. O powrocie do szarej, wojskowej codzienności, czekającej za wysokimi murami koszar. Liczyła się tylko ta chwila. Przez moment byliśmy wolni. I po prostu – szczęśliwi.

Strzeliło parę dobrych piw, aż w końcu przyszedł moment, żeby zbierać się na pociąg. W głowie już solidnie szumiało, ale jeszcze nie było tragedii. Gdy

wsiedliśmy do wagonu, szybko okazało się, że nie jesteśmy jedyni. Byli tam też inni żołnierze – jechali chyba z Rzeszowa do innej jednostki, również w Inowrocławiu. A że wszyscy byliśmy już porządnie znieczuleni, naturalnie połączyliśmy siły. Zaczęła się wspólna balanga. Dowcipy, gadanie, kolejne piwa. Mundury, wojsko, przyszłość – wszystko przestało mieć znaczenie.

Ostatnie, co pamiętam, to plany dotyczące przesiadki w Lublinie. Stamtąd mieliśmy pojechać już prosto do Inowrocławia. No właśnie... *mieliśmy*. Chłopa dotarli. Tyle że beze mnie.

– Panie! Wstawaj pan! Co pan, noclegownię sobie znalazłeś?! – usłyszałem nagle.

Konduktor wszedł do przedziału i szarpał mnie za mundur.

– Gdzie... gdzie ja jestem? – zapytałem cichym, przepitym głosem.

– Warszawa Zachodnia! – odburknął wkurzony.

– Ja pierdolę... co jest grane? – wyszeptałem pod nosem, przecierając oczy ze zdumienia. Nie miałem pieniędzy. Nie miałem telefonu. Nie wiedziałem, która jest godzina. Kompletnie nic nie pamiętałem. Przesiadka miała być o pierwszej w nocy, a za oknem było już jasno.

Szybko okazało się, że moi serdeczni koledzy zostawili mnie kompletnie nawalonego w pociągu i zwyczajnie sobie poszli. Jak gdyby nigdy nic, pojechali dalej do jednostki. Super kumple, normalnie. Żeby było śmieszniej, zostałem również okradziony. Pieniądze, które miałem przy sobie i komórka – wszystko zniknęło. Został mi tylko pusty, wybebeszony portfel i ładowarka do telefonu.

Konduktor, widząc mój opłakany stan, zlitował się nade mną. Pomógł mi wysiąść z pociągu i dał dziesięć złotych, żebym mógł kupić coś do jedzenia i picia. Ten gest, niby drobny, w tamtej chwili znaczył więcej, niż mógłby przypuszczać.

Szybka analiza sytuacji. Decyzja musiała zapaść od razu. Praktycznie bez kasy i telefonu, w obcym mieście, uznałem, że najrozsądniej będzie zgłosić całe zajście na policję. Może dzięki temu w jednostce nie będą się czepiać. Może papier coś załatwi.

Swoją drogą musiałem mieć tego dnia sporo szczęścia, bo trafiłem na kolejnych dobrych ludzi. Gdy wsiadałem do taksówki, para – mężczyzna z kobietą – zapytała, czy nie potrzebuję pomocy. Wytłumaczyłem swoją sytuację. Nie zastanawiali się długo. Zawieźli mnie na własny koszt do najbliższej komendy policji. Musiałem wyglądać naprawdę tragicznie, skoro obcy ludzie zwrócili na mnie uwagę i postanowili zareagować.

Minęła dziewiąta rano – godzina, na którą miałem stawić się w jednostce. Siedziałem na komisariacie jak zbity pies. Zmęczony, niewyspany, z kacem jak stąd do Sierakowa. Głowa pękała, myśli się płątały, a stres dokładał swoje.

Złożyłem zeznania, podpisałem jakieś papiery i ruszyłem na dworzec. To były czasy, kiedy Żandarmeria Wojskowa często kręciła się po dworcach PKP i PKS, wyłapując takich zagubionych żołnierzy jak ja. Minąłem nawet jeden patrol „żetonów”. Spojrzeli na mnie... i nic. Nie spisali mnie ani nawet nie podeszli. Nie zapytali, co tu robię i dlaczego nie jestem w koszarach. Może im się nie chciało. A może nie wyglądałem aż tak źle, jak się czułem.

Wsiadłem do pociągu. I to było wtedy najważniejsze – dojechałem do Inowrocławia.

Skacowany, z jęzorem na wierzchu, przekroczyłem mury jednostki wojskowej.

Kiedy dotarłem do koszar, od razu trafiłem do dowódcy kompanii. Tak jak wspominałem wcześniej, pokazałem podpisane papiery z komendy policji i obyło się bez większych konsekwencji. Po całym dniu bez alkoholu byłem już trzeźwy, więc i pod tym względem nie mieli się do czego przyczepić. Tym razem los chyba naprawdę postanowił mi odpuścić.

Na korytarzu kompanii zobaczyłem uczestników tej pięknej eskapady. Tych samych, którzy dojechali beze mnie. Zacisnąłem pięści i miałem ochotę dać im po ryju, bez gadania. Ale zwyczajnie nie miałem na to siły. Złość była wielka, ale zmęczenie silniejsze.

– Dlaczego zostawiliście mnie w przedziale? – zapytałem, bardziej z bezsilności niż z agresji.

Oczywiście żaden z nich nie potrafił powiedzieć nic sensownego. Usłyszałem tylko, że nie mieli siły mnie podnieść i wywlec z przedziału. Potem uznali, że sobie poradzę. Tematu telefonu i pieniędzy w ogóle nie ruszałem. Nie wchodziłem z nimi w dyskusję. Wiedziałem, że z niektórymi z nich spędzę resztę służby. Nie było najmniejszego sensu robić sobie wrogów. Wolałem to przełknąć i odsłużyć swoje w możliwie spokojny sposób.

Tego ciężkiego popołudnia najważniejsze było dla mnie jedno – dotrzeć na miejsce. Cały i zdrowy. Położyć się w końcu na swoim wozie. Zamknąć oczy. Odpocząć choć przez kilka godzin po tych wszystkich „przygodach”, zanim znów wyrwie mnie ze snu krzyk wściekłego kaprała.

Optylizmem napawała mnie również myśl, że za kilka dni roześlą nas do jednostek macierzystych. Moja znajdowała się niecałe trzydzieści kilometrów

od miejsca zamieszkania – w Nisku, małym mieście, gdzie każdy dzień wyglądał podobnie. Po kilku dniach wróciliśmy więc w rodzinne strony.

Ja, razem z kilkoma innymi żołnierzami, trafiłem do 3. Batalionu Ratownictwa Inżynieryjnego. Tam poczułem się już jak ryba w wodzie. Sama świadomość, że jestem blisko domu, dawała ogromną siłę i spokój. Łatwiej było myśleć o końcu służby, łatwiej było ją po prostu przetrwać.

Z czasem wszystko zaczęło się normalizować. Powoli przyzwyczajaliśmy się do wojskowej codzienności. Na początku było trochę nerwowo – trafiliśmy na kompanię, w której było już stare wojsko. Oni co rusz nas ścigali, sprawdzali, testowali. Ale nie były to czasy fali. Dało się żyć. Bez większych problemów i łamania ludzi. Po prostu wojsko.

I tak mijały mi dni, tygodnie i miesiące, aż w końcu przyszedł lipiec. Zostało niecałe trzydzieści DDC – Dni Do Cywila. Był to czas urlopów dla mojego poboru, więc należało go wykorzystać. Tak, w zasadniczej służbie wojskowej były kiedyś normalne urlopy. Dziś brzmi to niemal abstrakcyjnie, ale tak działał system. Każdemu żołnierzowi należało się to jak przysłowiowemu psu buda.

Swój urlop wykorzystałem, jadąc na dwa tygodnie do domu. Żyłem już wtedy myślą o tym, co będę robił po wojsku. Oczywiście na pierwszy plan wysuwała się muzyka i reaktywacja kapeli, którą rok wcześniej założyłem z sąsiadem. W tamtym czasie był to dla mnie absolutny priorytet. Właściwie o niczym innym nie myślałem. Mimo że w woju byłem już praktycznie na wylocie, trepy do samego końca próbowały wybić mi z głowy zamiłowanie do mojego hobby. Na ich nieszczęście – nie dali rady. Nie dałem się.

Te dwa tygodnie minęły błyskawicznie. Nie chciało mi się wracać do koszar, ale myśl, że za kilkanaście dni wychodzę do cywila, skutecznie motywowała do stawienia się w jednostce. Pamiętam, że z tego urlopu wróciłem strasznie nagrzany. Było to po jakiejś imprezie – jednej z wielu. Niedzielną wieczór, około dwudziestej trzeciej.

Pierwsze problemy zaczęły się jeszcze na chodniku przy ogrodzeniu. Nawalony jak samolot kopnąłem w kiosk przy bramie batalionu. W jednej chwili włączył się alarm. Odruchowo rzuciłem się do ucieczki. I o dziwo, biorąc pod uwagę mój stan, dotarłem bezpiecznie za mury koszar. Tam wartownik zgarnął mnie i zaprowadził na kompanię.

I wtedy coś mi kompletnie odjębało. Zacząłem przestawiać podoficera dyżurnego. Wygrażałem mu, że zaraz rozbiję mu mordę o schody. Doszło do szarpaniny. Obudziłem całą kompanię. Wyobrażacie to sobie? Dwa tygodnie do końca służby, a ja robię taki dym. Jakby specjalnie. Jakby tylko mnie mogło coś takiego strzelić do głowy.

Nazajutrz rano nie poszedłem nawet na zaprawę. Byłem jeszcze totalnie napruty – ale trudno się dziwić, skoro na urlopie praktycznie non stop imprezowałem. Gdy w jednostce pojawił się kapitan, nasz dowódca, od razu zostałem wezwany na dywanik.

– Szeregowy, przecież ty jesteś jeszcze napierdolony – powiedział wkurzony, z wyraźną pogardą w oczach.

– Zapewne tak jest, panie kapitanie – odpowiedziałem pokornie, bo na tym etapie nie było już sensu cwaniakować.

– Niedźwiecki! Jeżeli masz więcej niż dwa promile, wisisz mi litrę dobrej wódki. A teraz się zbieraj, jedziemy na komendę. Nie będę wzywał żandarmerii, ale tam mi dmuchniesz – dorzucił i ruszyliśmy na małą wycieczkę.

Wsadzili mnie do gazika i pojechaliśmy. W poniedziałek rano, przy badaniu, wydmuchałem jeszcze **2,07 promila**. To teraz wyobraźcie sobie, jak bardzo musiałem być pijany kilkanaście godzin wcześniej. Przez cały czas spędzony w wojsku – poza incydentem z przysięgą – byłem grzeczny jak trusia. Okazuje się, że tylko po to, żeby na sam koniec spierdolić wszystko na własne życzenie. Porażka na całej linii.

Kapitan słowa dotrzymał. Nie wezwali żandarmerii, nie robili mi pod górkę. Tylko dlatego, że i tak wychodziłem już z MON-u. Mimo wszystko nie dostałem belki, tak jak reszta żołnierzy. Było mi z tego powodu przykro. Jemu też. Dlaczego? Bo zwyczajnie mnie polubił – sam się do tego przyznał, kiedy wychodziłem do cywila. Niestety było już za późno, żeby cokolwiek naprawić. Zostaliśmy z tym niedopowiedzeniem po obu stronach.

– Zero! Zero! Zero! DDC! Pociąg rusza, gdzie się chce! – krzyczeliśmy, radośni i naładowani nadzieją na lepsze jutro. Optymistycznie nastawieni do życia, bo w końcu – odwaliliśmy wojsko.

W końcu nadszedł dzień wyjścia do cywila. 28 lipca 2007 roku. Tego dnia byłem jednym z najszczęśliwszych ludzi na świecie.

– Jesień cywil ma! Sia la la la la! Jesień cywil ma! Siaaa la la la la! – śpiewaliśmy to przez całe jedno z piękniejszych, gorących lipcowych popołudni. Przy kuflu zimnego piwa. W końcu wolni.

Słońce świeciło wtedy dla mnie jakby jaśniej. Po wielu miesiącach znowu poczułem wolność – prawdziwą, niewymuszoną, taką, której przez długi czas bardzo mi brakowało. Koniec odliczania. Koniec meldunków. Koniec życia na rozkaz. Wiedziałem, że w końcu mogę wrócić do swojej ukochanej, muzycznej rzeczywistości. Do świata, w którym sam decyduję, co robię i kim chcę być.

A jednak, mimo wszystkich przykrych sytuacji, chaosu, krzyków i absurdów, wojsko wspominam dziś zaskakująco ciepło. Z perspektywy czasu widzę w nim coś więcej niż tylko zmarnowane miesiące. Nauczyło mnie wytrzymałości, dystansu do samego siebie i tego, że nawet w najbardziej betonowych warunkach da się przetrwać – czasem nawet z uśmiechem.

Powiem więcej – czasem łapię się na myśli, że trochę żałuję, iż tam nie zostałem. Ale tylko trochę. Bo gdybym wtedy został, nie czytaliście teraz tej historii.